



Kori

Morgon Chara od najmłodszych lat sprawiał kłopoty. Był nieposłuszny, wszczynał awantury. Za nic miał starszych, lekceważył odwieczne zwyczaje. Wysmiewał ofiary składane duchom, a nawet nie szanował ognia. To mogło sprowadzić na wszystkich nieszczęście. W osadzie nie było szamana, który chroniłby ludzi przed duchami.

Każdy unikał Morgona Charę. Kiedy nadszedł czas, by młodzi uczestniczyli w polowaniach, on musiał radzić sobie sam.

Pewnego dnia zabrał ze sobą strzały i wyruszył w tajgę. Zbudował szałas, w środku rozpałił ogień i wędził w dymie to, co zdołał upolować. Zrobił zapas na kilka dni i udał się dalej. Słońce stało wysoko. Światło i cień przelewały się przez gałęzie, otaczając Morgana Charę. Gdy przewrócił się uderzając o drzewo, pomyślał, że zawadził o korzeń. Chciał się podnieść, ale ciało go nie słuchało. Rzuciło się wstrząsane drgawkami, objając się o ziemię i pnie drzew. Po chwili to samo stało się z jego umysłem i Morgon Chara stracił przytomność.

26

Kiedy się ocknął, leżał na ziemi. W głowie mu huczało, cały był obolały. Z trudem się podniósł. Rozejrzył się wkoło, ale nie pamiętał nawet, jak wrócić do strumienia, który mijął ostatnio. Nigdy przedtem nic takiego mu się nie przytrafiło. Jak błędny krążył tak do zmierzchu i przez następne dni. Tajga wyglądała obco.

W końcu trafił na mokradła. Próbował zawrócić, ale wchodził w coraz większe grzęzawiska. Kilka razy przewrócił się, gdy kępa traw zapadła się pod jego ciężarem. Nie słyszał już wiatru w liściach i gałęziach. Otaczały go nagie drzewa. Przypominał sobie opowieści o martwym lesie, który zamieszkiwały złe duchy. Poczul strach. Coraz mniej pewnie stawiał kroki. Kiedy nadeszła noc, oparł się o powalony pień. Pół drzemiąc przeczekał do świtu i ruszył dalej. W nozdrza bił smród mokradel.

Kierował się na południe w nadziei, że uda mu się stamtąd wydostać. Słońce po raz trzeci wznosiło się nad wierzchołki drzew, gdy zobaczył otwartą przestrzeń. Okalały ją suche drzewa. Pośrodku, niby wyspa, wyrastał pagórek porośnięty wysokimi trawami. Spośród nich wystrellały w górę trzy wielkie modrzewie. Korę miały dziwnie gładką i połyskliwą, igły dźwięczały jakby były z żelaza. Środkowe drzewo górowało nad pozostałymi. Na jego rozłożystych gałęziach ciemniało kilka ogromnych gniazd.

Morgon Chara z ulgą stanął na suchej ziemi. Nagrzane trawy pachniały mocno. Położył się i od razu zasnął. Mimo, że spał słyszał wszystko dookoła. Wydawało mu się nawet, że widzi przez zamknięte powieki.

27



Nie wiedział, jak długo leży, gdy dobiegł go dziwny dźwięk. Ni to szum, szelest, ni brzęczenie. Chciał się podnieść, ale nie mógł. Był jak kamień. Poczul, jak po nim przesunął się wielki cień. Zza drzew wyłonił się ogromny ptak i zatoczył nad nim koło. Przypominał orła, lecz był o wiele większy. Pióra miał ciemne, a kiedy padał na nie promień słońca, błyszczały, jakby zrobione były ze stali.

„To ptak Kori!”, przemknęło przez myśl Morgonowi Charze. Słyszał wiele opowieści o ptaku z Górnego Świata, wysłanniku duchów. Pomyślał, że dobrze byłoby mieć jego pióro przynoszące szczęście. Wciąż jednak nie mógł się poruszyć.

Ptak Kori zawisł nad nim. Morgon Chara zobaczył patrzące przenikliwe oczy, a zaraz potem poczul, jak łapią go wielkie szpony i unoszą w powietrze. W dole pod drzewami jego postać malała coraz bardziej. Widział siebie z wysoko, a równocześnie czuł, że leży nieruchomo tam w dole.

Ptak wznosił się, aż znaleźli się w jednym z najwyższych gniazd na środkowym modrzewiu.

– Myślisz, że zabłądziłeś – powiedział. – Ale przywiódł cię tutaj Emegēt, szamański duch twojego rodu. Nakazał mi się tobą opiekować. Wybrał cię. On będzie twoim ojcem. Spotkasz go, kiedy przyjdzie czas, a ja będę teraz twoją matką.

Morgona Charę ogarnęły ciemności. To Ptak Kori usiadł na nim jak na jajku. Nie wiedział, co się z nim dzieje. „Skoro opiekują się mną duchy przodków, jestem bezpieczny”, pomyślał.

28